

# Uwierz w ducha, idź do teatru

W swojej wersji „Dziadów” w Teatrze Nowym obok radia, z którego sączy się głos Gustawa Holoubka, Radosław Rychcik sadza członków Ku-Klux-Klanu i Senatora o rysach plantatora bawełny

**Marta Kaźmierska**

Przy wejściu do teatru przed sobotnią premierą widzów witały dźwięki „Ody do radości” – oficjalnego hymnu Unii Europejskiej, głoszącego równość wszystkich ludzi. W drzwiach kłaniał się wchodzącym hotelowy boy z pudełkiem popcornu w dłoni.

A gdy na widowni zgasły światła i scenę oświetlił punktowy reflektor, okazało się, że Guślarz ze słynnego romantycznego dramatu Adama Mickiewicza ma twarz Jokera.

„Dziady” Radosława Rychcika – choć mówią do widza przez niemalże trzy godziny językiem oryginału – wizualnie zbudowane są z nawiązań do amerykańskiej popkultury. Różia i Józio – Mickiewiczowskie duszyczki dzieci, które nie zaznały za życia nic gorzkiego – na scenie przybierają postać bliźniaczek z „Łśnienia” Stanleya Kubricka. Pani Rollisonowa (niesamowita charakterystyka, pod którą skrywa się aktorka Maria Rybarczyk) to u Rychcika Aunt Jemima – czarnoskóra otyła służąca, rodem z „Przemienię z wiatrem” i całego kanonu wyidealizowanych opowieści o białych dobrych panach i szczęśliwych niewolnikach. Zosia (ta sama, która u Mickiewicza na głowie ma krásny wianek, a w ręku zielony badylek) przed widzami Teatru Nowego staje jako cheerleaderka w plisowanej mini. A Dziewica w peruce à la Marilyn Monroe i białej powiewającej sukience śpiewa słynne „Happy Birthday, mr President” chwilę po tym, jak głos radiowego spikera podaje nam informację o zamachu na prezydenta Kennedy’ego.

MATERIAŁY TEATRU NOWEGO



Pierwsza część spektaklu, z boiskiem do koszykówki, automatem do coca-coli i chórkami rozśpiewanych, ufryzowanych dziewcząt, jest lżejsza. Po przerwie robi się nieco mroczniej

Efekciarstwo? Otóż nie. Seria atrakcyjnych, chwytliwych pomysłów nie jest u Rychcika sztucznym tworem doklejonym na siłę do wielkiej literatury. Postacie z „Dziadów” naprawdę żyją (także dzięki bardzo zaangażowanej grze aktorów i świetnych, czarnoskórych statystów), budują kapitalne napięcie, a gdy trzeba, nawet śmie-

szą i dystansują się od wypowiadanego tekstu, mrugając okiem do widza. Po pierwszej, nieco lżejszej części spektaklu (z boiskiem do koszykówki, automatem do coca-coli i chórkami rozśpiewanych, ufryzowanych dziewcząt w rolach głównych) po przerwie robi się nieco mroczniej. Przez kilkanaście długich minut, gdy

w ciemnościach majaczy na scenie jedynie radio, głosem Gustawa Holoubka przemawia do nas Gustaw-Konrad z filmu „Lawa” Tadeusza Konwickiego. Obraz kibitek wywozujących skatowanych carskich więźniów na Sybir zlewa się w jedno z prześladowaniami na tle rasowym, kiedy nadzy aktorzy i statyści – niczym profesjonalny

chór gospel – śpiewają jednym głosem słynne „Zemsta na wroga”.

Reżyser „Dziadów” stawia znak równości między krzywdą wileńskich studentów prześladowanych za swoje pochodzenie i poglądy a losem całych pokoleń czarnoskórych mieszkańców Ameryki, o prawa których jeszcze pół wieku

**Efekciarstwo? Otóż nie. Seria atrakcyjnych, chwytliwych pomysłów nie jest u Rychcika sztucznym tworem doklejonym na siłę do wielkiej literatury. Postacie z „Dziadów” naprawdę żyją**

temu upominać się musiał Martin Luther King. Jego słynne przemówienie z 1963 r., w którym wymieniał swoje sny o równości wszystkich obywateli, także słychać ze sceny. Chwilę później Aunt Jemima rozprawia się ze swoimi prześladowcami niczym tytułowy bohater „Django” Quentin Tarantino.

W swoim najnowszym spektaklu Radosław Rychcik idzie na całość: igra ze szkolnym kanonem, zrzuca z piedestału uświęcone symbole i bawi się sztuczną poprawnością polityczną. Ale zadaje przy tym mnóstwo ważnych pytań. M.in. o nas samych w świecie pozornej równości i sprawiedliwości. I o ducha literatury sprzed dwóch stuleci.

Jego „Dziady” pokazują, że ten duch wciąż żyje. ●